

P. Wysocka jeszcze za dyrekcji Kotarbińskiego zdobyła sobie zasłużone uznanie i wybiła się wraz z p. Mrozowską na pierwszy plan. Po rozbiciu dawnej trupy, kiedy przedsiębiorstwo objął p. Solski, który działalność swą około „podniesienia“ teatru krakowskiego rozpoczął od usunięcia ze sceny najlepszych, jacy tam byli, artystów, i artystek, p. Wysocka zajęła rzeczywiście — choć dyrekcja inaczej sądzi — pierwsze miejsce w obecnym składzie personalu. I rzecz charakterystyczna. Dwa miesiące ubiegło od czasu, kiedy p. Solski rozpoczął sezon, a p. Wysocka nie miała jeszcze ani jednej roli większej, ani jednej roli popisowej. „Zastosowany do wymagań sceny krakowskiej“ repertuar, mający się przyczynić do podniesienia teatru, okazał się jakoś w dziwny sposób takim, że p. Wysocka roli w nim nie znalazła. W teatrze bowiem udział władzę nad rolami kobiecymi objęła nowa Psyche, do której repertuar się stosuje.

Cóż jest tego przyczyną?

Chyba fakt, że p. Wysocka ma jedną wielką wadę. Tak jest. P. Wysocka ma wielki, rzeczywisty i piękny talent, talent, który już nieraz jaśniał na naszej scenie niezwykłymi blaski i musiałby zaćmić blask innych, słabszych od niej słońc. A w konstellacji słońc teatralnych są gwiazdy, których zaćmiewać nie wolno.

P. Wysocka to artystka do ról silnie dramatycznych. W dramacie i tragedii potrafi porwać i zahypnotyzować wszystkich. Jej postacie dramatyczne tchną bowiem życiem, oddychają, mają krew i ciało. Oczyma i modulacją głosu wydobywa z każdej roli najważniejsze rysy, do czego jej pomaga znakomicie wysoka inteligencja i szalona rutyna. Nikt nie zapomni jej kreacji w „Balladynie“, w „Matce“ i „Śniegu“ Przybyszewskiego, jej Ofelii w „Hamlecie“ i tylu, tylu innych sztukach tak z dawnego, jak i modernistycznego repertuaru. Dodać zaś trzeba, że p. Wysocka jest osobą młodą, ma więc przed sobą świetną przyszłość. Ale trzeba, żeby ten talent mógł się rozwijać należycie, mógł się kształcić, bo w bezczynności nawet geniusz marnieje. Zmarowanie zaś takiego talentu byłoby dla sceny polskiej niesłychaną krzywdą i przedsiębiorca teatralny p. Solski, powinien o tem pamiętać.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok portret p. Wysockiej.



komedia w 3 aktach Edmunda Sée, tłumaczyła Wanda Nałęczówna. (Premiera z dnia 8 października b. r.)

Solski, Mikulski i spółka nie mają szczęśliwej ręki w dobieraniu sztuk. Sobotnia premiera była ukoronowaniem tego zajmującego repertuaru, którym przedsiębiorstwo karmi nas od szeregu tygodni, zyskując konieczność chodzenia do teatru w Krakowie, gdzie poprostu brak wszelkiej innej rozrywki.

Sobotnia sztuka była trzecią z rzędu, w której akcja przez trzy akty rozgrywa się w jednym i tym samym pokoju, a więc oszczędność na kosztach wystawy jest ogromna. Pócz tego, sztuka sama płytka, nudna, polegająca cała na tem, że jakiś platoniczny kochanek jakiejś wesołej mężatki ciągle papie, a nie działa, przez co wreszcie skompromitowany kobietę, a nie uzyskawszy nic, musi się wynieść za drzwi i porzucić piękną dla której był... za młody.

Gdy się zważy, że we wszystkich trzech aktach dzieje się ciągle jedno i to samo, że akcja od początku do końca krokiem z miejsca nie rusza, gdy w dodatku, w braku odpowiednich do tej sztuki aktorów i aktorek, sztuka była niefortunnie obsadzona, gdy panowie artyści ponabierali się jeden jak student na tańce, a drugi jak toreador — nie dziw, że publiczność wprost sarkająca, wychodząc z teatru.

Istotnie najwyższy już czas, żeby otwarto salę koncertową przy placu Szczepańskim, gdzie publiczność krakowska będzie mogła korzystać ze wspólnych koncertów i innych widowisk bez potrzeby chodzenia do zbyt odległego „Sokła“. Wtedy przynajmniej krakowskie przedsiębiorstwo teatral-

ne będzie musiało liczyć się poważnie z konkurencją i nie będzie śmiało drwić sobie z publiczności zaniedbanym repertuarem.

Dziwić się również należy, że nikt nie podejmuje myśli prowadzenia dalej teatru ludowego w Krakowie. Instytucja ta jest konieczna i pożądana, sił aktorskich nie brak. Co też się dzieje z tym teatrem ludowym, w którym p. Rydel z takim zapałem popierał narodową sztukę za czasów dyrekcji Kotarbińskiego? Mówią głośno po mieście że koncesję tę ma w ręku p. Rydel, że atoli teraz już ostygł w zapale dla ludu wobec nawału czynności, jakie ma przy teatrze p. Solskiego jako płatny recenzent sztuk do grania.

Nie wierzę takim wieściom i dlatego poruszam tę kwestję. Kraków potrzebuje teatru ludowego, teatr ten powstać musi, byłoby bowiem rzeczą wprost niesłychaną, żeby publiczność zezwoliła na utracenie sceny ludowej dlatego, że chciwy spekulant teatralny chce skupić tanim kosztem jak największe zyski dla siebie i swojej... Psyche.

Oświk.

## Pytania bez odpowiedzi.

Ponurego zakończenia sprawy Angelusa nie przewidywał nikt, nawet może on sam, skoro na parę dni przed swoim tragicznym zgonem łudził się, że potrafi na jaw wydobyć prawdę, której, jak utrzymywał, ani śledztwo sądowe ani rozprawa nie wykryły.

Kara śmierci, wymierzona samemu sobie przez człowieka, który mógł ująć kary, który w ostatniej chwili skarży się głośno na zbyt ciężkie potępienie co spadło na głowę jego i dzieci — jest ofiarą, pokutą, zadośćuczynieniem i maże wszelką winę. Co więcej, zmusza do refleksji, że ponad przewinienie osądzony został ten człowiek może błądzący, może bardzo grzeszny, ale przecie nie pozbawiony szlachetnych porywów serca, skoro nie lęk przed karą, bo przed tą jużby uszedł, ale widmo bezceści wepchnęło mu do ręki broń samobójczą.

Pozostawione przez zmarłego pismo do p. ministra sprawiedliwości, charakteryzuje spokój i rezygnacja po części, pewna naiwność człowieka, który sądzi, że słowa jego są bezwzględnie wiarygodne, skoro je popiera majestat zgonu. Smutne i wielkie złudzenie! Pismo to, z opuszczeniem ważniejszych ustępów do sprawy wznowienia postępowania karnego potrzebnych, brzmi jak następuje:

Odebrałem sobie życie przez niesprawiedliwe zasądzenie mnie na 4 lata ciężkiego więzienia. umierając piszę prawdę, przyjmując odpowiedzialność przed Bogiem.

Prowadziłem w Krakowie Zakład zastawniczy pod firmą „W. Angelus i Ska“, a będąc sam biednym szukałem kapitalistów. Znalazłem kilku, wszyscy obdzierali mnie; najgorszym był Konstanty Rudolf Małkowski. Według ksiąg i bilansów znajdujących się w rękach sądu, miał on w Zakładzie zastawniczym 130.000 ulokowanego kapitału, pobierał 12% od kapitału, plus pensja 5.000 koron, która była także tylko procentem lichwiarskim pod płaszczykiem wynagrodzenia pracy.

Małkowski i inni olichwili mnie, grożąc wystąpieniem i zlikwidowaniem interesu, zrobili ze mnie uległe narzędzie swej woli.

Na pokrycie deficytu bilansów i „manka“ kasowego (kasę prowadził sam Małkowski) postanowił Małkowski „nadrabiać“ dochodów gdzie się uda. Obcinał więc ludzi przy wypłacie nadwyżek, które obliczał Angelus według żądania Małkowskiego — po wyższej stopie procentowej.

W góle tylko kapitaliści korzystali — ja nie miałem żadnej korzyści z tych nieprawych zysków i dążyłem ile sił starczyło do wyzwolenia się z sieci lichwiarskiej do zaniechania nadużyć. Umieram też w biedzie, zostawiając biedną żonę z dziećmi bez środków do życia, w nędzy.

Małkowskiemu pozwolono uciec. Dochodzenia sędziego śledczego dra Władysława Kisiela były jednostronne. A esztowanych było 3 funkcyjony — Zakładu: Włodzimierz Angelus, Julia Brach i Franciszek Limanowski, a sędzia Kisiel groził mi nadto dalszemi aresztowaniami i skandalem w całej rodzinie. Często, gdy zeznawałem prawdę, nie odpowiadając jego pytaniu, wpadał w gniew, wołając: „pan łiesz“. O ile posępowanie takie zgodne jest z ustawą, nie moja rzeczą oceniać — wiem jednak, że tak czynić nie wolno. Przez groźbę skandalu dalszych w rodzinie rozumiałem wyraźnie, aresztowanie syna i córki zameżuje.

Zeznawałem, więc co wiedziałem i niewiedziałem, a wszystkie fakta odnoszące się do Małkow-

skiego przyjmowałem na siebie, bo spodziewałem się, iż kaucję złożę za mnie i uwolni mnie z więzienia, nadto myślałem, iż skończy się na moim uwięzieniu i ukaraniu mnie, a Zakład zostanie uratowany, nie zamknięty, przez co żyłem nadzieją, że ja i rodzina nie stracimy utrzymania. Stało się przeciwnie. Zakład zamknięto przed wydaniem wyroku. Zaraz też po ucieczce Małkowskiego, gdy minęła mnie nadzieja otrzymania kaucji z jego rąk, zeznania zmieniłem, ale tak sędzia Kisiel jak i prokuratora nie dały posłuchu i wiary moim zeznaniom, uważając je za wykret.

Tak podano sprawę ławie przysięgłych i zapadł werdykt, na podstawie którego dano mi 4 lata ciężkiego więzienia.

A przecie pieniądze zabrał Małkowski, on wolny — uciekł. To gruba pomyłka sądu. Tym bardziej razi mnie ta pomyłka, że już po moim aresztowaniu, Małkowski popełniał takie same nadużycia — są takie dowody (kartki likwidowane ręką Małkowskiego) dostał w posiadanie, a przecie moim zeznaniom nie wierzył.

Przeciw wymierzonomu wyrokowi wniosł obrońca mój zażalenie nieważności. On wykaże prawnicze błędy — ja zaś zanoszę skargę ludzką do Jego Ekscelencji, wołając z za grobu „krzywdę mi wyrządzono dużą, a nie mam nadziei i wiary w uzyskanie prawdziwego wymiaru sprawiedliwości“.

Jego Ekscelencja będzie miał akta w Wiedniu i z nich pozna, że ja nie popełniłem oszustwa.

Nikt także z sądu nie prostował fałszywych relacji dzienników — opisujących sprawę Angelusa jako kradzieży europejskiej sławy — jako rabunku i gromadzenia milionów.

Dzienniki inspirowane przez Hopcas — urabiały mi ujemną — złą opinię, a to celem wyzucia mnie z koncesji, a uzyskania jej dla siebie.

Pan Hopcas, dziennikarz z „Czasu“, starał się o koncesję na Kraków — dostał na Podgórze, ale tam nie otworzył, czekając na miejsce moje.

Padłem więc ofiarą intrygi z jednej a niedokładności sądu z drugiej strony.

Może dzieci moje dowiedzą się o skutku pisania do Jego Ekscelencji i one może oczyszczą choć w części pamięć moją. Kraków, 28 października 1905. Włodzimierz Angelus.

Jak zawsze, tak i z powodu tego wypadku nasuwają się refleksje na temat ogólny. Budzi się przedewszystkiem pytanie, czy wszystko w tej „sprawie“ działa się w porządku? Dlaczego ani prokurator ani sędzia śledczy, którzy głośno opowiadali, że wiedzą, iż Małkowski jest w Częstochowie, (był bardzo nabożny i co miesiąc chodził do spowiedzi) nie uczynili niczego, aby go postawić przed sądem? Wszakże Rosya wydaje przestępców! Nasuwa się pytanie, czy kapłani sprawiedliwości spełnili godnie swój obowiązek, wtrącając do więzienia jednego funkcyjony, a po walając bezpiecznie siedzieć poza salą sądową różnym innym utytułowanym lub znającym „stosunki“ lichwiarzom, którzy obliczają teraz bezpiecznie swoje zyski z wyszku?

Ś. p. Angelus skarży się, że go zabijał rozgłos nadany tej sprawie przez prasę. Nasuwa się znowu pytanie, czy najzarliwszy w tej sprawie krzykacz, reporter i „redaktor „Czasu“ p. Hopcas, ma zupełnie czyste ręce, czy wolno mu sądzić i potępiać, skoro o tem wie, że sam ma na sumieniu czyny karygodne! Ś. p. Angelus pisze: „Nowa Reforma“, „Głos Narodu“ i „Napęd“ obchodziły się ze mną surowo, potępiały, ale żalu nie mam, bo wiem, że nie była to ani konkurencyjna zawieść sprawozdawcy „Czasu“ Hopcas, ani polowanie za skandalem, z którego żyją „Nowiny“.

Ś. p. Angelus uskarża się wreszcie na krzywdę, którą mu wyrządził dr. Seinfeld, jego były adwokat i poleca rodzinie, aby tej krzywdy dochodziła. Dr. Seinfeld umówił się z Angelusem, że za przeprowadzenie całej sprawy ma mu Angelus zapłacić 3000 oron. Kwotę tę pobrał z góry. Potem w toku śledztwa, bądź przychodził z wiadomościami, że wszystko za to umorzone i w kazując na siebie mówił: „Ja Seinfeld to zrobiłem“, bądź alarmował lub groził latami kryminału, żądając coraz nowych honoraryów. W ten sposób — pi-e Angelus — wziął odemnie jeszcze 2000 koron, razem 5000 koron, a nie mi nie zrobił, nie dał mi żadnej ani fachowej ani ludzkiej rady. Żądał tylko ciągle żeby przynosić do niego wszystkie biżuterie i kosztowności, których nie miałem, bo mówił, że u niego będą bezpieczne, albo straszył mnie zniekanego. Powoływał się na swoje stosunki z radcami i wpływy w sądzie i obiecywał, że sprawa musi być umorzona. Czy tak postępuje uczciwy adwokat,